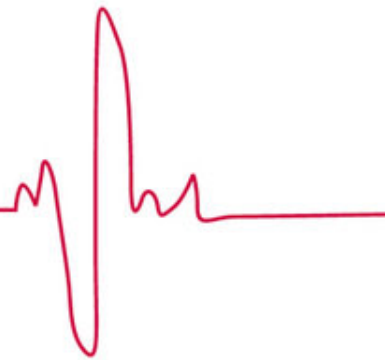


ROBIN COOK



GENEZA



REBIS

[RECENZJA] "Geneza" Robin Cook

nimfa bagienna

Wyrób rzemieślniczy

Niedługo minie pół wieku od chwili wydania pierwszej książki Robina Cooka („Rok interny”, 1972). Od tego czasu pisarz opublikował ponad trzydzieści pięć powieści, stał się niekwestionowanym królem thrillera medycznego, wypracował własny, niepowtarzalny styl. Niepowtarzalny, ale też mocno przewidywalny. Wada to czy zaleta? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Z jednej strony książki Cooka można kupować (lub wypożyczać w ciemno. Nawet bez zaglądania do środka wiemy, co dostaniemy. Będzie to solidny rzemieślniczy produkt z medycyną w roli głównej. Wiemy też, że autor nie obrazi naszej inteligencji, wypisując wyczytane w sieci bzdury – część naukowa u Cooka jest zawsze dobrze dopracowana. Nawet jego teksty bardzo mocno dryfujące w stronę science-fiction mają w sobie naprawdę dużo „science”. Z drugiej strony jednak nie mamy co liczyć na zaskoczenie. Konstrukcja fabularna, przedstawienie postaci, język są mocno powtarzalne. Inżynier Mamoń byłby zachwycony.

Miałam tego pełną świadomość, sięgając po „Genezę”, kolejną opowieść o przygodach Laurie Montgomery i Jacka Stapletona. Moje oczekiwania spełniły się w stu procentach. Dostałam to, czego się spodziewałam – kawał przyzwoitej prozy rozrywkowej. Bez wodotrysków, ale i bez wpadek. Tylko tyle albo aż tyle.

Jak to od zawsze u Cooka bywa, najmocniejszą stroną książki są elementy związane z medycyną i okolicami. Tym razem mamy do czynienia z genetyką, a dokładniej z genealogią genetyczną. Temat ciekawy, niewyeksplotowany przez popkulturę, i już chociażby z tego powodu godzien uwagi. Autor ma tego świadomość i serwuje nam ogromną dawkę informacji. Szkoda tylko, że – zafascynowany tematem – nie postarał się przekazać wiedzy w bardziej atrakcyjny sposób. Kilkustronicowe wykłady, którymi raczą się nawzajem bohaterowie, mogą być na dłuższą metę męczące. Ewidentnie zabrakło pisarskiej finezji. Gwoli sprawiedliwości należy tu dodać, że wywody te, choć w moim odczuciu miejscami przydługie, są przejrzyste, logiczne i zrozumiałe nawet dla laika. Nie ma tu ani śladu tak lubianego przez co poniektórych pisarzy pseudonaukowego bełkotu. To duży plus!

Tyle, jeśli chodzi o część naukową. A co z resztą języka? Co ze stylem opowieści? Cóż, jakie jest pióro Cooka, każdy widzi. Poprawne. Język jest przezroczysty, odpowiednio dobrany do powieści rozrywkowej – tekst wchodzi szybko i gładko. Celem autora nie jest epatowanie finezyjnymi subtelnościami stylu, lecz opowiedzenie historii. I cel ten osiąga. Jeśli mogę coś tu zarzucić, to miejscami nienaturalne dialogi, w szczególności tam, gdzie mamy do czynienia ze wspomnianymi już wcześniej „wykładami”. Żywi ludzie nie rozmawiają w ten sposób.

Para głównych bohaterów, Laurie i Jack, jest dobrze znana miłośnikom twórczości Cooka. Tym razem do tej dwójki dołącza nowa postać – Aria Nichols, rezydentka. Osóbka wyjątkowo irytująca. Domyślam się, że autor chciał wprowadzić do powieści wyrazistą, nietuzinkową postać. Z pewnością mu się to udało, ale... Chyba postarał się za bardzo. Aria, która w zamyśle miała być (jak sądzę) damskim odpowiednikiem doktora House’a: genialna, uparta, pewna siebie, szorstka w obejściu i nieprzebierająca w słowach, jest zwyczajnie odpychająca. Brakuje jej tego czegoś, co sprawiłoby, że polubilibyśmy ją mimo wad. Trudno jest kibicować poczynaniom kogoś, komu w głębi serca życzymy jak najgorzej. A może się mylę? Może to tylko moje odczucie i przebojowa doktor Nichols zyska sympatię czytelników?

Mimo że pomysł leżący u podstaw „Genezy” – wykorzystanie genetyki w śledztwie – jest bardzo

ciekawym, to jednak linia fabularna mocno kuleje. Tak, fabuła jest bez dwóch zdań najsłabszym elementem powieści. Po pierwsze, przewidywalna. W wielu miejscach czytałam tylko po to, by się przekonać, że słusznie przewidziałam co będzie dalej. Dość szybko też odgadałam, kto jest mordercą. Po drugie, autor nie zadbał o szczegóły. Wiele drobnych spraw zawisło w powietrzu. Zabrakło mi chociażby odpowiedzi na pytanie, kto zapłacił za wszystkie (nietanie wszak!) analizy genetyczne wykonane w prywatnym ośrodku. Niby mała rzecz, a zgrzyta. I po trzecie, wątki poboczne, bardzo rozbudowane, lecz przedstawione w niezwykle suchy sposób, jakby autor czuł, że główna intryga nie dostarcza materiału wystarczającego na napisanie zakontraktowanej liczby arkuszy. Mamy na przykład ciężką chorobę jednego z głównych bohaterów opisaną z takim brakiem emocji, jakby chodziło o katar albo grypę. Niby rodzina ma stres, ale wiemy o tym jedynie na poziomie werbalnym. Na poziomie emocjonalnym uczucia są ledwie wyczuwalne (a powinny wręcz buzować!),

Zważywszy wszystkie plusy i minusy, mogę z czystym sumieniem powiedzieć (a właściwie napisać), że „Geneza” powinna zadowolić oddanych fanów twórczości Cooka, ale „efektu wow” raczej nie wywoła.

Agnieszka Chodkowska-Gyurics